

CZY PTAKI ŚPIEWAJĄ W PIEKLE?

PRAWDZIWA HISTORIA
CZŁOWIEKA, KTÓRY
STAWIŁ CZOŁA
NAZISTOM.
WSZYSTKO Z MIŁOŚCI
DO KOBIETY

HORACE
GREASLEY

 editio

Tytuł oryginału: Do the Birds Still Sing in Hell?

Tłumaczenie: Olga Kwiecień

ISBN: 978-83-246-8307-9

© Text copyright Horace Greasley and Ken Scott

All rights reserved. No part of this publication may be reproduced, stored in a retrieval system, or in any form or by any means, without the prior permission in writing of the publisher, nor be otherwise circulated in any form of binding or cover other than that in which it is published and without a similar condition including this condition being imposed on the subsequent publisher.

This edition published in paperback in 2013

Polish edition copyright © 2014 by Helion S.A.

All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autor oraz Wydawnictwo HELION dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz Wydawnictwo HELION nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Wydawnictwo HELION

ul. Kościuszki 1c, 44-100 GLIWICE

tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63

e-mail: editio@editio.pl

WWW: <http://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Printed in Poland.

- [Kup książkę](#)
- [Poleć książkę](#)
- [Oceń książkę](#)

- [Księgarnia internetowa](#)
- [Lubię to! » Nasza społeczność](#)

SPIS TREŚCI

Prolog	17
Rozdział 1.	23
Rozdział 2.	35
Rozdział 3.	47
Rozdział 4.	65
Rozdział 5.	77
Rozdział 6.	89
Rozdział 7.	99
Rozdział 8.	109
Rozdział 9.	121
Rozdział 10.	137
Rozdział 11.	151
Rozdział 12.	155
Rozdział 13.	165
Rozdział 14.	173
Rozdział 15.	183
Rozdział 16.	191
Rozdział 17.	197
Rozdział 18.	209
Rozdział 19.	219
Rozdział 20.	229
Rozdział 21.	235

SPIS TREŚCI

Rozdział 22.	239
Rozdział 23.	243
Rozdział 24.	251
Rozdział 25.	259
Rozdział 26.	265
Rozdział 27.	267
Rozdział 28.	275
Epilog	279

ROZDZIAŁ 3.

W połowie maja 1940 roku Drugi Piąty Batalion Leicesters otrzymał wreszcie wezwanie do boju. Niemcy najechały Francję, Belgię i Holandię. Neville Chamberlain ustąpił ze stanowiska premiera, a jego miejsce zajął Winston Churchill.

Trzecia Rzesza była w natarciu. Luksemburg został zajęty, a wojska pancerne generała Guderiana wdarły się do Francji w okolicach Sedanu, co było strategiczną klęską aliantów. Churchill próbował pobudzić naród do walki swoją mową o „krwi, trudzie, pocie i łzach”. Rotterdam przeżył nalot dywanowy Luftwaffe, w którym zginęły tysiące cywilów; armia holenderska skapitulowała. Churchill wybrał się z niespodziewaną wizytą do Paryża i ku swojemu przerażeniu odkrył, że francuski opór właściwie nie istnieje. Wielka Brytania została w Europie sama.

W podróży słyszać było jedynie szum ogromnej czterotonowej ciężarówki wiozącej żołnierzy: jej pasażerowie milczeli. Krążyły niepotwierdzone plotki, że linia Maginota została przerwana przez Niemców i że posuwają się oni w głąb Francji. Linia Maginota — zbudowana z betonowych umocnień, przeszkód przeciwzołgowych, gniazd artyleryjskich i stanowisk karabinów maszynowych — powstała podczas I wojny światowej. Została zaprojektowana, by wytrzymać każdy atak ze strony Niemiec, i była uważana za nie do zdobycia.

Starszy sierżant Aberfield zaprzeczył plotkom i powiedział, że linia została utrzymana. Poinformował ich też, że batalion jest w drodze do Belgii, gdzie przyjdzie im się spotkać z Niemcami. Horace pytał swojego sierżanta, następnie

jednego z wyższych rangą poruczników i wreszcie starszego sierżanta Aberfielda, jak toczy się wojna i gdzie dokładnie się kierują. Za każdym razem otrzymywał inną odpowiedź. Wywołało w nim to wrażenie, że tak naprawdę nikt nic nie wie.

Horace trzymał szkic wykonany na podstawie jedynej mapy północnej Francji, jaką posiadał jego 29-osobowy oddział. Mapa należała do starszego sierżanta Aberfielda, który zostawił ją bez opieki, gdy poprzedniego wieczoru poszedł zjeść obiad. Horace narysował ołówkiem miasta okręgu Lille i Lotaryngii, jak również kilka niewielkich wiosek w Alzacji. Uważnie zacieniował granice Belgii i Luksemburga i starał się zaznaczać postępy swojego oddziału, gdy mijali po drodze kolejne wioski i miasta.

Obecnie był zdezorientowany. Dopiero co minęli Caudry i zmierzali, jak przypuszczał, w kierunku Hirson w pobliżu belgijskiej granicy. Ku jego zdumieniu jednak skręcili na północ i teraz znajdowali się w Hautmont, zaledwie 40 kilometrów od granicy, gdzie konwój niespodziewanie się zatrzymał, a żołnierze otrzymali pozwolenie, by wysiąść na szybką fajkę i odlać się. Kilku oficerów zebrało się razem i rozmawiali nad dużą mapą rozciągniętą na ziemi. Starszy sierżant Aberfield wskazywał na niej coś kijkiem, jednak Horace nie był w stanie usłyszeć, o czym mówi.

Wszyscy wrócili do ciężarówki, a kierowca skręcił na zachód w kierunku Cambrai. Horace trzymał swój rysunek na kolanach, a jego ręce zaczęły się trząść, gdy dotarła do niego straszna prawda. Jego batalion zawrócił... znajdowali się w odwrocie.

Jakieś pół godziny później ciężarówka zatrzymała się i żołnierzom polecono wysiąść. Tuż przed tym, nim silnik ciężarówki zgasł, cały oddział usłyszał jednocześnie wystrzał. Nie mogli się mylić.

Strzały i wybuchy pocisków artyleryjskich — dźwięk niósł się z wiatrem ze wschodu. Trudno było powiedzieć, jak odległe było źródło dźwięków: może trzy kilometry, może pięć. Horace uśmiechnął się, czując, jak adrenalina przepływa przez cały jego kręgosłup. Był gotowy. Nigdy nie był niczego tak pewien w swoim życiu. Wydawało się, że wreszcie wezmą udział w jakiejś akcji.

Zatrzymali się na poboczu drogi w pobliżu lasu. Ciężarówka, którą jechał Horace, wjechała w przecinkę leśną na głębokość około pół kilometra. Reszta konwoju odjechała. Oddział Horace'a został pozostawiony samemu sobie, gotowy na zobaczenie wojny, chociaż nie było jeszcze wiadomo, w jakiej formie. Horace

wyczuł to, podobnie jak niektórzy inni żołnierze, którzy stali się dziwnie milczący. Aberfield stał pod osłoną drzew i zapalał papierosa trzęsącymi się dłońmi. Był śmiertelnie błądy, niczym żywy trup.

Horace otrzymał rozkaz wdrapania się na płócienny dach ciężarówki z karabinem Bren. Reszta oddziału stała wokół ciężarówki, trzymając gotowe do strzału jednostrzałowe karabiny Lee Enfield 303. Kaprał powiedział mu, że niemiecki oddział zwiadowczy znajduje się w pobliżu i że zadaniem Horace'a będzie ostrzelanie go ciągłym ogniem z karabinu.

— Jesteś najlepszym strzelcem, Greasley — powiedział kaprał wyjaśniającym tonem, wręczając mu karabin. Horace nie potrzebował żadnego wytłumaczenia... był gotowy. Tak naprawdę nie mógłby być bardziej podekscytowany.

Leżał na napiętym brezencie przez niemal dwie godziny. Odbezpieczył karabin i trzymał palec na spuście wymierzonego w niebo brena. Kilka razy wydawało mu się, że słyszał buczenie silnika samolotu, jednak ku jego rozczarowaniu rozplynęło się w oddali.

— Złaż, Greasley — krzyknął do niego kaprał. — Dość już tam siedzisz.

— Nic mi nie jest, kapralu, w życiu nie czułem się lepiej! Ja...

— Sprowadź swój tyłek na dół, jak ci mówię, Greasley! Nikt nie umie się skoncentrować dłużej niż dwie godziny. Złaż, nie mamy całego dnia.

— Ale kapralu, ja...

— Ale już, do kurwy nędzy! To jest rozkaz!

Inny młody żołnierz pakował się na dach, nie wyglądając przy tym na zbyt zadowolonego. Horace uśmiechnął się, wyciągając rękę, by pomóc mu się wdrapać na górę.

— Wygląda na to, że cała zabawa przypadnie tobie, Cloughie.

Młodziak nie odpowiedział; wyglądał na śmiertelnie przerażonego.

Szeregowy Clough siedział na dachu nie dłużej niż dziesięć minut, gdy usłyszeli niedający się z niczym pomylić odgłos samolotu nadlatującego z zachodu. Messerschmitt ME 210 wyleciał na zwiad, mający na celu zebranie informacji o ruchach wojsk alianckich. Był jednak wyposażony w cztery działka 20 mm, a z tyłu siedział strzelec uzbrojony w całkowicie wyposażone karabiny maszynowe MG 131. Pilot odezwał się przez radio do strzelca: „Czas się zabawić”.

Samolot ostro się przechylił, gdy pilot kciukami obydwu dłoni przycisnął guziki u szczytu drążka. Obniżył lot o około 30 metrów i wyrównał dokładnie nad przecinką leśną, tak jakby zbliżał się do długiego pasa do lądowania. To będzie łatwe: zestrzelić kilka angielskich świń i wrócić do koszar akurat na kolację.

Horace musiał przyznać, że widok samolotu lecącego w ich kierunku nie więcej niż 25 metrów nad ziemią był przerażający. Ryk silników był ogłuszający. Samolot pędził w kierunku odsłoniętej ciężarówki. Większość żołnierzy schowała się w lesie, kilku wyciągnęło broń, jednak nie mieli szans na trafienie czegokolwiek pomiędzy gałęzi. Horace samotnie stał na osłoniętej przestrzeni, trzymając kolbę karabinu 303 mocno przy ramieniu i z zaciśniętymi zębami strzelając w śmigło samolotu. Lada moment grad pocisków karabinowych musi odnieść skutek i samolot spadnie.

I wtedy to usłyszał: muzyka dla uszu, kolejne serie z karabinu maszynowego. „Piękny dźwięk” — pomyślał, żałując, że to nie on leży na dachu ciężarówki.

Samolot zbliżał się: Horace spodziewał się zobaczyć pióropusz dymu i eksplozję na niebie. Jednak w ułamku sekundy uświadomił sobie, że strzały z karabinu nie dobiegają z dachu ciężarówki, lecz z samolotu. Dwadzieścia metrów przed nim pociski z głuchym dudnieniem waliły w ściółkę leśną. Horace stał dokładnie na linii strzału. Jakby w zwolnionym tempie widział, jak linia uderzeń pocisków zbliża się do niego.

Nie miał czasu się zastanawiać. Adrenalina zmusiła go, by parł naprzód. Odrzut karabinu sprawiał, że ramię zaczęło go boleć. Dwa rzędy kul rozdarły dach ciężarówki, echo wystrzału brzmiało mu w uszach. I potem... ciemność, przeszywający ból w czaszce, gdy Horace stracił przytomność.

Nie poczuł się dużo lepiej, gdy ocknął się kilka sekund później i zobaczył, co się stało. Lekarz opatrzył głębokie rozcięcie na jego czole. Miał też guza wielkości jajka. W ostatniej chwili czysty instynkt przetrwania skłonił go do ukrycia się pod ciężarówką i uderzył głową w metalową belkę podtrzymującą koło zapasowe. Omal nie zginął: jedna kula przeszła materiał khaki jego spodni, omijając nogę o ułamek milimetra.

Spojrzał śmierci w twarz. Ba, tak naprawdę to strzelił jej w pysk. Miał prawo czuć szok i odrętwienie. Powinien czuć uniesienie, że uszedł z życiem, powinien być zadowolony z pochwał kolegów. Nawet Aberfield klepnął go w plecy i wymamrotał parę życzliwych słów.

Jednak nie czuł żadnej z tych rzeczy, jedynie rozczarowanie. Polegał tylko na jednym człowieku: na szeregowym Cloughu na dachu ciężarówki. Bren mógł wystrzelić dwieście pocisków na minutę, a on nie oddał ani jednego strzału. Gdy Horace Greasley stał samotny na przecince, strzelając do messerschmitta niemal od chwili, w której się pojawił, Bill Clough posrał się w gacie, bez zastanowienia zeskoczył z dachu na ziemię i niczym przerażony królik zwał do lasu. Horace zmierzył się z przerażającą siłą ognia messerschmitta zupełnie sam, mając do dyspozycji jedynie powtarzalny karabin, który musiał każdorazowo przeładować po strzale, przeciwko samolotowi z wieżyczką strzelecką, zdolnemu rozedrzeć go na strzępy w ciągu kilku sekund.

Horace miał szczęście, co do tego nie było wątpliwości. Jednak stał tam tylko dlatego, że sądził, iż chroni go kolega. Powiedział sierżantowi, by przez kilka dni trzymał Billa Clougha z dala od niego.

Cały oddział zapakował się z powrotem na ciężarówkę. Horace dostał pozwolenie jazdy w kabinie. Aberfield uznał, że dla morale żołnierzy nie będzie dobrze, jeśli Horace zacznie nadawać na jednego ze swoich towarzyszy.

Horace słyszał urywki rozmowy Aberfielda z kierowcą, jednak przez większość czasu po prostu gapił się na pola za oknem. Łany żółtej kukurydzy kołysały się na wietrze. Od czasu do czasu zauważał jakąś tabliczkę z nazwą miejscowości, która mówiła mu, że nadal się cofają. „To nie tak miało wyglądać” — pomyślał, przypominając sobie pogadanki z klubu przy boisku w Leicester. Stary dobry Drugi Piąty Batalion Leicesters nie miał uciekać i się ukrywać: nie to słyszał od oficera opisującego chwalebna przeszłość tej formacji. W jej szeregach nie miało być miejsca dla tchórzy — a tym właśnie był Bill Clough. Jak mógł to zrobić?

Horace potarł bandaż na swojej głowie. Lekarz miał rację: opuchlizna zeszała, ale Chryste, co za ból. Po godzinie zatrzymali się nad rzeką i Aberfield rozkazał żołnierzom wysiąść. Byli tuż pod Hautmont nad rzeką Sambre, nad którą wznosił się stary kamienny most. Stojąc na zachodnim brzegu, żołnierze wysłuchali rozkazów od Aberfielda.

— Ten most ma wielkie strategiczne znaczenie, chłopcy, i mamy informację, że szkopy niedługo spróbują go przejść. — Aberfield znowu był błąd jak ściana, słowa niemal zamierały mu w ustach. — Niedaleko stąd jest niemiecki patrol, który zmierza w tę stronę. Mamy ładnych kilka godzin, tak więc zabierzcie się do kopania i przygotowania kamuflażu.

Horace i jego towarzysze kopali przez dwa dni i dwie noce. Zmieniali się, by złapać kilka godzin snu, jednak naładowane karabiny cały czas mieli pod ręką. Karabiny Bren zostały umieszczone na niewielkim trawiastym pagórku i obsadzone dwoma starszymi żołnierzami z oddziału. Rzucała się w oczy nieobecność Aberfielda, który zdecydował się zająć pozycję na peryferiach miasteczka razem z operatorem radia. W połowie drugiego dnia Aberfield przyjechał wraz z sierżantem, przywożąc tuzin francuskich bochenków chleba i kankę z ciepłym mlekiem. Żołnierze jedli i pili łapczywie — to był ich pierwszy posiłek od niemal trzech dni. Kuchnia polowa została oddzielona od ich oddziału i jej położenie nie było znane.

O szóstej po południu drugiego dnia nastrój dowodzących oficerów nagle się zmienił. Napięcie w powietrzu wzrosło do niespotykanego wcześniej poziomu, gdy poinformowano ich, że niemiecki patrol znajduje się w odległości kilku minut marszu od mostu.

Horace poprawił kamuflaż na hełmie i przycisnął kolbę karabinu do ramienia. Uspokoił oddech i wsłuchał się w wyjaśnienia sierżanta, który poinstruował ich, że mogą otworzyć ogień dopiero po jego pierwszym strzale.

Horace leżał zupełnie nieruchomo. Zdawał sobie sprawę z dziwnej ciszy. Dźwięk wystrzałów z oddali, szum pojazdów z miasteczka, który czasem można było dosłyszeć przy sprzyjającym wietrze, wydawały się zastygłe w dziwnej, milczącej pętli czasu. Nawet ptaki przestały śpiewać, jakby skąds wiedziały.

Zaledwie dziesięć minut później Horace zauważył pierwszego Niemca ostrożnie zbliżającego się do mostu. Informacje były dobre — przynajmniej ktoś po stronie aliantów potrafił dobrze wykonać swoją robotę. Jego palec zawisł nad spustem, gdy powoli ustawił celownik w kształcie litery V tak, by widzieć przez niego klatkę piersiową wrogiego żołnierza, stawiającego pierwsze ostrożne kroki na moście. Za nim ukazało się kolejnych pięciu czy sześciu Niemców. Horace poczuł, jak na czole tworzą mu się kropelki potu. Miał za chwilę zabić człowieka, co do tego nie było wątpliwości. Przeszedł punkt, spoza którego nie było już odwrotu.

Pierwszy Niemiec był w tym momencie mniej więcej w połowie mostu. Za nim nerwowo kroczyło co najmniej pół tuzina jego towarzyszy. Bez ostrzeżenia zabrzmiał wystrzał i głowa pierwszego żołnierza eksplodowała w czerwonym rozbrzgu niczym pomarańcza. Czerwona mgła wydawała się przez chwilę dziwacznie unosić nad jego leżącym ciałem. Grad strzałów posypał się na patrol. Horace

zwrócił uwagę na drugiego żołnierza. Nacisnął spust karabinu. Poczul uderzenie w ramię przy odrzucie, gdy nabój wyleciał z lufy, a niemiecki żołnierz upadł niczym worek kartofli na krawędź mostu. Instynkt wziął górę. Horace nie miał czasu zastanawiać się nad absurdem wojny ani nad pozostawioną w Berlinie czy Monachium rodziną młodego Niemca i tym, jak zareaguje, dowiedziawszy się, że ich ojciec, syn czy brat zginął w obronie Ojczyzny. Horace zdjął jeszcze co najmniej dwóch Niemców i władował dwa magazynki w nieszczęśnika próbującego sięgnąć w ostatniej chwili po karabin. Karabiny Bren dopełniły dzieła. Niemiecki patrol został zmasakrowany. Horace czuł dziwne uniesienie... zrobił swoje bez wahania. Ze strony jego towarzyszy rozległy się okrzyki radości. Horace zachował milczenie.

Starszy sierżant rozkazał Horace'owi i trzem innym członkom oddziału zabezpieczyć most — co w wojskowym żargonie oznaczało upewnienie się, że Niemcy rzeczywiście nie żyją. Horace poprowadził na most czteroosobową grupę, w której skład wchodził Ernie Mountain, Fred Bryson i dowodzący Charlie Smith. Serce biło mu szybko, napędzane mieszkanką adrenaliny i strachu. Był pewien, że idący za nim koledzy mogą je usłyszeć. Zdarzało się, że ranny lub umierający żołnierz trzymał odbezpieczony granat, zdecydowany popełnić samobójstwo i zabrać ze sobą przebywających w pobliżu wrogów. Horace słyszał opowieści o martwych Niemcach powracających cudownie do życia i zabijających pół tuzina niczego niespodziewających się aliantów. Był zdecydowany doprowadzić robotę do końca i nie rozluźnić się, dopóki każdy z zakrwawionych Niemców leżących na moście nie okaże się rzeczywiście martwy.

Obejrzał się przez ramię. Reszta oddziału zachowała pozycję, wciąż mierząc w most z karabinów. Miał nadzieję, że są równie dobrymi strzelcami jak on, gdy uświadomił sobie, że jego własne ciało znajduje się teraz na linii ognia. On i jego trzech koledzy zajęli pozycje, mierząc z karabinów w głowę niemieckiego kaprała. Horace oparł karabin o barierkę mostu, uklęknął i sprawdził oddech Niemca — czy też raczej stwierdził brak tegoż. Obserwował pierwsze ciało przez cały czas, gdy powoli posuwał się wzdłuż mostu. „Nikt nie mógłby wstrzymać oddechu na tak długo” — pomyślał Horace. Złapał za mundur żołnierza, jedną rękę kładąc na ramieniu, drugą na kołnierzu kurtki. Powoli, lecz równomiernie przechylił się w tył i obrócił ciało Niemca twarzą w kierunku karabinów swoich trzech towarzyszy.

— Czysto.

Horace odetchnął z ulgą. Zamieniali się, posuwając się powoli wzdłuż mostu i oglądając uważnie każde ciało. Strzelali dobrze. Żaden z Niemców nie przeżył. Jego koledzy uśmiechali się, wyraźnie odprężając się po każdym stwierdzonym zgonie. Młodzi mężczyźni — osiemnaście czy dziewiętnaście lat, chłopcy jeszcze.

Na przeciwnym końcu mostu wydarzyło się coś dziwnego. Znowu przypadła kolej Horace'a, by zbadać ciało, już ostatnie. Jego towarzysze przyjęli znane im już pozycje z karabinami gotowymi do strzału. Niemiecki żołnierz leżał w kałuży szkarlatu. Fragmenty kości czaszki, tkanek i mózgu obryzgały poręcz mostu. Horace nawet nie marnował czasu na sprawdzenie, czy mężczyzna oddycha, było oczywiste, że jest martwy. Jego ciało leżało groteskowo wygięte w nienaturalnej pozycji z twarzą zanurzoną we własnej krwi. Horace przyklęknął, starając się ominąć parującą, lepłą ciecz. Automatycznie sprawdził oznaki życia.

— Czysto — rozległ się okrzyk.

— Co to jest? — Dowódca oddziału wskazał na pasek Niemca.

— Jakiś napis na klamrze.

Dowódca przyklęknął, by lepiej się przyjrzeć. Pozostali opuścili karabiny. Uważnie przyjrzał się napisowi.

— *Gott ist mit uns* — przeliterował powoli.

— Co to znaczy? — zapytał Horace. Popatrzył na Erniego Mountaina, który znał trochę niemiecki. Ernie ściągnął swój metalowy hełm i podrapał się w czoło.

— A niech mnie... o ile się nie mylę, to znaczy „Bóg jest z nami”.

— W jakiego Boga wierzą? — zapytał dowódca.

— Są chrześcijanami — odparł Ernie.

— Pierdolisz, to niemożliwe. Są źli do szpiku kości.

Horace usiadł na wąskiej poręczy mostu i przysłuchiwał się rozmowie. Jego koledzy byli autentycznie zaskoczeni, gdy ostatecznie doszli do wniosku, że Niemcy — naziści, Hunowie — naprawdę wierzą w tego samego Boga co oni. Horace potrząsnął głową. Nigdy wcześniej nie przyszło mu to na myśl. Czytali doniesienia prasowe, słuchali radia i oglądali kroniki filmowe Pathé w kinach w całym kraju. Ten naród, ci ludzie, żołnierze i SS wydawali się zdeterminowani, by podporządkować sobie świat, oczyścić go etnicznie i usunąć z niego wszystko, co nie było zgodne z ich ideologią. Wydawało się, że są przeciwko wszystkiemu, o czym nauczała Biblia, jednak teraz zobaczyli przed sobą dowód, że czcili tego samego Pana — Jezusa Chrystusa, Boga, wielkiego zbawcę — co mężczyźni, kobiety i dzieci w Anglii.

Horace spojrział w twarze swoich zaskoczonych towarzyszy. Nie byli specjalnie religijni, wręcz daleko im było do tego. Jednak zostali wychowani w porządnym rodzinach, chodzili do szkół, przyzwyczaili się do modlitwy rano i przed położeniem się do łóżka, bez wątplenia chodzili też do szkoły niedzielnej.

— Czy Bóg rozumie po niemiecku? — zapytał Ernie.

Horace niemal przewrócił się ze śmiechu.

— Najwyraźniej. I po francusku, rosyjsku i polsku też.

— Ale przecież Bóg jest po naszej stronie, nie ich — powiedział Fred Bryson, marszcząc brwi. Spoglądał po swoich towarzyszach, tak jakby spodziewał się, że pomogą mu rozwiązać tę zagadkę tu i teraz.

Czterech mężczyzn. Czterech mężczyzn, którym do tego dnia nawet przez myśl nie przeszło, że naziści mogliby czcić tego samego Boga, nie mogło uwierzyć w dowód w postaci paska z grawerunkiem.

Horace wskazał na ciało.

— Temu tu biednemu skurwielowi za wiele to nie pomogło, co nie? Pewnie mu się wydawało, że mając ten pasek, jest niezwyciężony, pewnie sądził, że ma dodatkową ochronę.

Odezwał się Fred:

— Ale padre mówił, że...

— Nie wnikaj w to, Fred — przerwał mu Horace. — To wszystko jedno wielkie gówno i teraz już wiesz to na pewno. Tylko o tym pomyśl. Pomyśl o tym, gdy będziesz odmawiać modlitwę wieczorem.

Odwrócili się i zeszli z mostu w kierunku swojego oddziału. Fred Bryson został na końcu i zdjął pasek żołnierza. Idąc za swoimi towarzyszami, wyrzucił go do wezbranej rzeki poniżej. Nie wiedział, czemu to zrobił, po prostu wydawało mu się to właściwe. Ten człowiek nie zasługiwał na to, by pochować go z chrześcijańskim napisem... a już zwłaszcza po niemiecku.

Godzinę później żołnierze pilnujący mostu zostali zwolnieni z posterunku i przewieziono ich kilometr lub dwa na drugi koniec miasteczka. Horace czuł przede wszystkim ściskający żołądek głód, a po drugie potrzebę snu. Sierżant wskazał przez pole na stare, rozpadające się zabudowania gospodarskie odległe o jakieś trzysta metrów.

— Możecie się kimnąć tam, chłopaki. Sprawdziliśmy te budynki, nie jest za czysto, ale łóżek jest pod dostatkiem i jest też bieżąca woda. Wydaje mi się, że obecni właściciele spieprzyli stąd kilka tygodni temu, gdy Niemcy zaczęli prężyć swoje muskuły.

— Coś do jedzenia? — zapytał Horace.

Sierżant się uśmiechnął.

— Na pewno coś znajdziesz, Jim. W szafkach jest trochę konserw, a na polach zostały jakieś warzywa. Widziałem też parę kur płaczących się w okolicy, jeśli biegasz dostatecznie szybko.

Fred podrapał się po brzuchu, jednocześnie przesuwając wilgotnym językiem po wargach.

— Kurczak i pieczone ziemniaki, chłopcy. Dla mnie brzmi dobrze.

— Może jeszcze odrobina wina do popicia... — Horace się rozmarzył. To była miła myśl: może w domu są piwniczka z winem i kuchenka, może znajdzie się parę rondli i patelni. Ruszyli wysadzaną drzewami dziurawą drogą w kierunku swojego schronienia, nasłuchując wystrzałów artyleryjskich w oddali. Może mu się zdawało, ale chyba stawały się głośniejsze.

Pierwszy pocisk wybuchł bez ostrzeżenia. Został wystrzelony z zachodu przez francuskich aliantów. Wybuch, oddalony nie więcej niż o 30 metrów, zwałił ich z nóg. Horace jęknął, uderzając w drzewo. Leżąc nieruchomo, zawołał do towarzyszy i dopytywał, czy wszyscy są cali.

Fred uklęknął.

— Chyba wszystko w porządku, nikomu nic się nie stało.

— Padnij, idioto — wrzasnął Horace, słysząc gwizd kolejnego pocisku nad głową. Wybuchł za domem, nie czyniąc żadnych szkód. Przez kolejne dwadzieścia minut przedni zwiad Drugiego Piątego Batalionu Leicesters leżał twarzami do ziemi we francuskim błocie, podczas gdy obok wybuchały pociski. Aberfield potwierdził, że nadlatują ze strony francuskich wojsk. Przyjacielski ostrzał. To określenie powstało podczas I wojny światowej. Przeraźliwie niekompetentni dowódcy kierowali ostrzał w miejsca, gdzie znajdowały się ich własne oddziały. Brak komunikacji powodował wystąpienie radosnego, przyjaznego ostrzału. Czy to nie byłoby absurdałne, gdyby zostali zmieceni z powierzchni ziemi przez kraj, który mieli chronić?

Nie mogli nic zrobić: ich los spoczywał w rękach ich sojuszników. Drzewa zostały powalone, pola i lasy dookoła dudniły nieustannie. Hałas był nie do zniesienia. Horace sztywniał za każdym razem, gdy słyszał gwizd pocisków, i zastanawiał się, czy którykolwiek z nich ma wypisany na sobie napis „Joseph Horace Greasley”. Nigdy wcześniej nie był tak blisko śmierci, a destrukcyjna siła wielkich pocisków przerażała go. Nigdy wcześniej nie widział ich z tak małej odległości. Zdarzało mu się od czasu do czasu widywać jakiś zniszczony pojazd, oglądał kroniki Pathé, jednak nic nie przygotowało go na tę potężną siłę zniszczenia, którą teraz bezpośrednio obserwował. Aberfield leżał tuż przed nim, zakrywając głowę dłońmi. Horace poszukał pnia drzewa, doszedłszy do wniosku, że trzysetletnie drzewo w razie czego przyjmie na siebie większą część uderzenia pocisku, który wylądowałby po drugiej stronie pola. Cały oddział leżał zwinięty w jak najmniejsze kłębki i starał się jak najgłębiej wcisnąć w zagłębienia terenu, modląc się, by skończyło się to jak najszybciej.

I wtedy nadleciał pocisk, na którym było napisane „Greasley”.

Horace usłyszał ciche brzęczenie w oddali, natychmiast zaschło mu w ustach. Brzęczenie zmieniło się w gwizd, głośniejszy niż wszystko, co kiedykolwiek słyszał. Inni też to wyczuli. Pocisk leciał w ich stronę.

— Kryć się — wrzeszczeli wszyscy za nim, gdy pocisk zbliżył się jeszcze bardziej. Hałas był nie do wytrzymania: pocisk nadlatywał prosto na nich. Horace zakrył głowę i błagał o litość. Pocisk wybuchł na środku drogi. Zapamiętał hałas, gdy ogromna kula ognia rozbłysła na 10 metrów w górę, a ułamek sekundy później zapadła ciemność.

Najpierw usłyszał jęki. Nie miał pojęcia, jak długo był nieprzytomny. Wokół panowała cisza, nie licząc śpiewu ptaków. „Znowu te ptaki” — pomyślał Horace. — „Skąd wiedzą, kiedy zacząć śpiewać? A kiedy przestać?”.

Większość mężczyzn już wstała. Niektórzy zajmowali się towarzyszami, którzy oberwali, i nakładali bandażę na poranione głowy lub usztywniali nieliczne złamane kończyny. Nie widział nikogo, kto leżałby bez ruchu. Jakimś cudem wszyscy ocaleli. Udało im się.

Horace spróbował wstać. Nie mógł. Spróbował znowu unieść górną połowę ciała, nagle świadomy dziwnego uczucia gorąca w okolicach połowy pleców. Nic. Nie mógł się ruszyć. Jego plecy były unieruchomione, tak jakby spoczywał na nich jakiś wielki ciężar: pudełka z amunicją wbijały mu się w pierś. Jego najgorszy

koszmar, złamany kręgosłup, życie na wózku inwalidzkim. Jednak w jakiś sposób wyczuł, że nie o to chodzi. Jego plecy wydawały się całe. Poruszał palcami u stóp. W porządku. Zgiął lewą nogę w kolanie, przyciskając piętę do pośladków. Działała bez zarzutu. Mózg wysyłał sygnały wzdłuż kręgosłupa, a noga wykonywała rozkazy. Jednak wciąż się bał.

— Fred, pomóż mi! Nie mogę się ruszyć.

Jego towarzysz podszedł do miejsca, gdzie leżał Horace, i otworzył usta ze zdumienia.

— A niech mnie, Jim, miałeś szczęście.

— Szczęście? Ja... co?

Fred wyciągnął do niego rękę, którą Horace uchwycił. Kolega wyciągnął go spod powalonego drzewa. Kawałek łuski grubości 2,5 centymetra i wielkości opony samochodowej niemal rozszczępił drzewo na dwoje, wbijając się w pień na głębokość jakichś 20 centymetrów. Wystający kawałek rozpalonego do czerwoności metalu ustawiony był równolegle do pleców Horace'a i oddalony od nich o centymetr. To właśnie ten szrapnel przez chwilę go unieruchomił. Fred potrząsnął głową w niedowierzaniu.

— Dwa cale niżej, Jim, i przeciąłby cię na pół.

Do Horace'a właśnie dotarło, jak bliski był śmierci. Zaczął szybciej oddychać. Siedział przez kilka minut w milczeniu, patrząc na powalone drzewo i łuskę pocisku. Zdjął wojskowy pas i instynktownie pomasaował się w okolicy nerek. Śmierć była o włos, co do tego nie było wątpliwości. Wziął głęboki oddech i wstał. Już po wszystkim, czas przestać o tym myśleć i zająć się czymś ważniejszym, jak na przykład jedzeniem.

Dwudziestu dziewięciu mężczyzn z wdzięcznością przyjęło możliwość niemal nieprzerwanego snu pod porządnym dachem po raz pierwszy od tygodnia, zwłaszcza że każdy z nich zasnął z pełnym żołądkiem. Udało im się schwytać dwie kury, które ugotowali i rozdzielili między siebie. Znaleźli mnóstwo jajek, tak więc ich uczta zaczęła się od jajek w majonezie, tyle że bez majonezu, za to z cebulą i pomidorami z pól. Głównym daniem była potrawka z kurczaka. Dorzucono do niej kilka puszek zielonej fasolki, słodką kukurydzę, sól i pieprz. Nieograniczona ilość gotowanych ziemniaków pozwoliła wszystkim napełnić żołądki i mimo że nie udało im się znaleźć piwniczki z winem, świeża woda ze studni na tyłach domu smakowała lepiej niż cokolwiek, co mogli sobie wyobrazić. Horace zasnął

zadowolony. To niesamowite, jaki wpływ pełny żołądek ma na morale. Jak powiedział pewien francuski generał dawno temu: armia maszeruje na brzuchu.

Było około szóstej rano, gdy Horace się zbudził. Na początku nie potrafił określić, co go zbudziło: myśli o jedzeniu, smukłym ciele Evy czy też odgłos strzałów artyleryjskich zaledwie kilka kilometrów dalej. Starszy sierżant Aberfield w towarzystwie kaprała i jeszcze dwóch czy trzech mężczyzn stał na zewnątrz i spoglądał na falujące pola kukurydzy na wschodzie. Głuchemu dudnieniu wystrzałów towarzyszyły słupy dymu. Kukurydza łagodnie kiwała się na wietrze, niczym zielono-żółte morze tańczące do melodii wiatru.

Nagle zobaczył coś dziwnego. Kukurydza poruszała się, jednak nie do taktu. Nie falowała już w przód i w tył niczym morze, zamiast tego ruszała się gwałtownie. Dostrzegł przebłysk szarości. Aberfield też to zauważył i z otwartymi ustami wskazał na pojawiające się hełmy. Wszyscy na chwilę zamarli, patrząc, jak z łanu kukurydzy wyłaniają się torsy co najmniej tuzina Niemców. Maszerowali prostą linią, nie starając się już ukryć.

— A niech mnie — wrzasnął kapral Graham, biegnąc do budynku po swój karabin. Horace nie panikował: wiedział dokładnie, co ma robić. Widział ustawiony w drzwiach stodoły odległej o 20 metrów porzucony karabin Bren, przypadkowo wymierzony we właściwym kierunku. Tylko w co bawią się ci Niemcy? Będzie w stanie zabić większość z nich, zanim się zorientują, co się stało. Przebiegł odległość do karabinu niczym lekkoatleta na mistrzostwach olimpijskich, Aberfield podążył za nim. Horace sięgnął po statyw karabinu.

— Ręce precz od broni — powiedział Aberfield, mierząc z pistoletu w jego skroń.

To nie mogło się dzieć... to było niemożliwe.

— Ręce precz od broni! — powtórzył.

— Co pan robi, sir, na litość boską? Wystawili się na strzał jak kaczki! — wrzasnął Horace, potrząsając głową i nie mogąc zrozumieć, co właściwie się dzieje. Pistolet drżał w dłoni starszego sierżanta i Horace nie miał wątpliwości, że pociągnie za spust. Lewą ręką Aberfield sięgnął do kieszeni i powoli wyciągnął białą chusteczkę.

— Nie! — zawył Horace. — Nie...

Chustka załopotała na wietrze, gdy starszy sierżant Aberfield wzniosł ją wysoko do góry. Pomiędzy oddziałem Drugiego Piątego Batalionu Leicesters i grupą zwiadowczą niemieckiego 154 Pułku Piechoty nie padł ani jeden strzał.

Horace nigdy nie czuł się gorzej, niż maszerując tego dnia do Cambrai. Stopy go bolały, w brzuchu burczało, myślał o rodzinie pozostawionej w domu. Wspominał Boże Narodzenie, rudzika, śpiew ptaków, długie lato, zapach świeżego chleba i wilgotną latem trawę. Zagubiony w myślach, desperacko starał się chronić swój umysł przed piekłem na ziemi, na które patrzył.

Na średniowiecznym ryneczku zgromadziło się co najmniej dziesięć tysięcy alianckich jeńców wojennych, otoczonych przez niemieckich strażników. Zapadał wieczór, dzień był szary i ponury. Twarze więźniów wyrażały smutek — wszelka nadzieja została im zabrana, zjednoczyło ich nieszczęście. Niektórzy byli zakrwawieni i poranieni, niektórzy najwyraźniej umierający. Pomiędzy nimi stali Francuzi, których okupanci przekonali, by poddali się bez oporu, a w nagrodę dostaną pracę w fabrykach amunicji w Niemczech.

Poddali swój kraj, ledwo oddawszy parę strzałów.

Horace był zszokowany skalą obecności Niemców, ich zadbanymi, lśniącoymi samochodami, znacznie lepszymi niż te, którymi jego oddział podróżował po Francji. Byli lepiej wyposażeni, ich mundury były lepszej jakości. U wejścia na rynek ustawiono kuchnię polową i zadowolonym, odkarmionym Niemcom wydawano tam chleb, kielbasę i parujące kubki z gorącą kawą. Niemcy byli zorganizowani, zaprawieni w bojach i bardziej doświadczeni.

Byli też brutalni i nieczuli. Jeńcom kazano się położyć, tak jak stali, i tak mieli spędzić noc. Nie było namiotów, lepianek, koców: mieli tylko mundury, w które byli ubrani. Jeden z Niemców rzucił się na jakiegoś nieszczęśnika, który zbyt wolno wykonywał rozkaz. Wyciągnął go spośród innych. Pół tuzina strażników zaczęło go okładać kolbami karabinów. Ten pełen furii atak trwał może z pół minuty. Z ohydny trzaskiem kolby rozwaliły czaszkę nieszczęśnika, a jego krew wylała się na już wilgotne kocie łby rynku. Zaatakowany, ledwo przytomny, spojrzał na stojącego nad nim oficera, ze strachem w oczach błagając o litość. Wiedział, jaki los go czeka. Niemiecki oficer z uśmiechem wyciągnął pistolet ze skórzanej kabury na biodrze i wymierzył w głowę więźnia. Powodowany czystym okrucieństwem, odwlekał moment egzekucji. Leżący na ziemi zakrwawiony i obolały jeńiec błagał i prosił, łzy ciekły mu po policzkach. Uśmiech zniknął z twarzy Niemca, który podszedł krok bliżej. Horace zamknął oczy na ułamek sekundy przed tym, jak rozległ się huk wystrzału. Gdy je otworzył, więzień leżał bez ruchu, a w miejscu jego gałki ocznej znajdowała się krwawa dziura.

Tuż po tym, jak zegar wybił północ, zaczął padać deszcz. „A wydawało się, że już nie może być gorzej” — pomyślał Horace. W ciągu godziny przemókł do nitki i leżał, trzęsąc się na zimnym nocnym powietrzu. Co dziwne, udało mu się nawet zdrzemnąć, jednak o poranku obudził się, leżąc w strumieniu wody spływającej z ulic prowadzących do rynku.

Zegar wybił siódmą, a niemiecki oficer wystrzelił kilka razy z pistoletu. Zrozumieli, że to komenda nakazująca im wstać. Niektórym się to nie udało: zmarli w nocy z powodu odniesionych ran. Niektórzy nie obudzili się mimo hałasu, tak byli wyczerpani. Zostali bezceremonialnie zastrzeleni przez rozradowanych strażników, którzy uważali to chyba za jakąś dyscyplinę sportową.

Oficer SS stanął na stopniach ratusza.

— Dla was wojna już się skończyła — wrzasnął. — Jesteście jeńcami wojennymi, więźniami wspaniałego narodu niemieckiego.

Głędził jeszcze przez dziesięć minut, ciesząc się władzą, jaką sprawował nad masami, jednak Horace nie słyszał nic z tego, o czym mówił. Myślał o chrupiącym boczk, grzankach, gorącym jajku na miękko i gorącej, przesłodzonej herbacie. Dotarł do niego niedający się z niczym pomylić zapach gotujących się kielbasek. Co najmniej pięćdziesięciu strażników czekało cierpliwie w kolejce na swoje poranne racje żywnościowe. Palili, śmiali się i rozmawiali, jakby nie mieli żadnych trosk.

W poszukiwaniu ciepła Ernie Mountain spał przytulony do Horace’a i teraz, gdy poranne słońce zaczęło rozgrzewać ich kości, dwóch chłopców z Iłstock rozmawiało. Wkrótce mundury dziesięciu tysięcy nieszczęśników zaczęły parować, co stanowiło dziwne widowisko. Niemieccy strażnicy stali w drzwiach sklepów i na stopniach ratusza, szczerząc zęby i wskazując palcami na tysiące więźniów, dyminiących, jakby mieli lada chwila buchnąć płomieniem.

— Patrz na tych skurwieli — powiedział Ernie, ciągnąc Horace’a za wilgotny rękaw munduru. Wskazywał na grupę francuskich jeńców, jedzących z czegoś, co wyglądało na niewielką skórzaną walizkę.

— Głodne pizdy, co?

Horace skinął głową.

Francuscy więźniowie mieli czas, żeby przygotować się na uwięzienie, i zgromadzili wcześniej niezbędne rzeczy. Teraz jedli bagietki z mięsem i serem, jeden z nich gryzł czekoladowy batonik.

— Myślisz, że się z nami podzielią, Ernie?

— Nie ma najmniejszych szans. Strzegą tego jak stado wilków.

W głowie Horace’a zaczął tworzyć się plan. Po raz pierwszy w życiu miał coś ukraść. Położył dłoń na ramieniu kolegi.

— Ernie, przyjacielu, zaraz zjemy sobie śniadanko.

— Co?

— Mam zamiar coś ukraść. Pańskie zadanie, panie Mountain, będzie polegało na tym, by nie pozwolić żabojadom mnie ścigać. Zniknę w tłumie z moim łupem i znajdę cię później.

— Mowy nie ma, ty pojechańcu! Zastrzelą cię!

Horace wskazał w kierunku kuchni polowej.

— Stary, oni teraz wszyscy jedzą śniadanie. Podjąłem decyzję. Przygotuj się, muszę coś zjeść.

Zanim Ernie miał szansę zaprotestować, Horace ruszył powoli wśród masy ciał wokół niego i stanął koło skarpy nie dalej niż dwa metry od Francuzów. Nie musiał czekać długo na upragniony rezultat. Ktoś podawał drugiemu połowę bagietki. Nie myśląc, Horace przebiegł niewielką odległość szybko jak wicher i chwycił swoją nagrodę z ręki zaskoczonego Francuza. Ruszył w dół nasypu jak chart, podczas gdy Francuz ruszył za nim. Horace opuścił ramiona, zauważył potężną sylwetkę Erniego i pognął w jego kierunku. Gdy go mijał, Francuz niemal go doganiał. Reszta jego przyjaciół zerwała się na nogi i zaczęła krzyczeć, przyciągając uwagę kilku strażników.

— *Voleur!* — krzyczeli. Złodziej!

Ernie zacisnął zęby i wycelował w nasadę nosa Francuza. Nie musiał nawet uderzać, wystarczyło, że wyciągnął ramię i ogromną dłoń zwiniętą w pięść. Impet biegnącego dokonał reszty. Usłyszeli ohydne chrupnięcie, gdy kość trafiła na kość. Nogi ścigającego wciąż biegły naprzód, jednak jego głowa pozostała w miejscu. W pewnym momencie jego ciało zawisło nad ziemią, a potem zwałił się nieprzytomny na bruk. Ernie odwrócił się, spoglądając z niewinną miną w niebo, podczas gdy dwóch niemieckich strażników zaczęło się przepychać w kierunku bójki, wymachując kolbami karabinów.

Przyjaciele Francuza podnosili swojego nieprzytomnego, zakrwawionego kolegę z ziemi.

— *Au voleur! Voleur!* — wołali, wskazując na tłum. Ernie przeklął ich pod nosem, modląc się, żeby jego przyjaciel nie został złapany. Na szczęście niemieccy strażnicy nie wydawali się zainteresowani sporami między więźniami. Nic ich to

nie obchodziło, wymierzili jedynie parę ciosów Francuzom, ot, tak dla zabawy, i wrócili do swojego śniadania. Horace znalazł przyjaciela i z dumą podzielił bagietkę na dwie części.

Dwóch żołnierzy uśmiechnęło się, wgryzając się w pyszne pieczywo i rozkoszując się jego smakiem. Ernie odezwał się między kolejnymi kęsami.

— Ty leniwa pizdo. Ukradłeś pieprzoną kanapkę, ale bez niczego!

Horace otworzył bagietkę i rzeczywiście, była pusta. To nie miało znaczenia: ich żołądki i tak się z niej ucieszyły.

Dwie godziny później wymaszerowali z wioski na wschód. Poczta pantoflową, która miała być dla nich najważniejszym źródłem informacji w nadchodzących latach, przekazano im informację, że ruszyli w dwu- lub trzydniowy marsz do stacji kolejowej w Brukseli, w zajmowanej przez Niemców Belgii. Jednak tym razem poczta pantoflowa myliła się dramatycznie. Marsz miał trwać całą wieczność i prowadzić do piekła i z powrotem.

PROGRAM PARTNERSKI

GRUPY WYDAWNICZEJ HELION



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW
w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

MIŁOŚĆ, KTÓRA MIAŁA SŁODKI SMAK WOLNOŚCI

Gdy w 1939 roku Hitler zaatakował wschodnią Europę, Horace „Jim” Greasley miał 20 lat. Tak jak inni Brytyjczycy rozpoczął gorączkowe przygotowania do nadciągającej wojny. Po kilku miesiącach walk na błotnistych polach północnej Francji został pojmany. Po morderczym 10-tygodniowym marszu i kilkudniowej podróży pociągiem dotarł do hitlerowskiego obozu jenieckiego w Polsce. Wtedy poznał Rosie, niemiecką tłumaczkę. Ich miłość połączyła dwie strony barykady.

Uciekał z obozu ponad 200 razy, by zobaczyć się z ukochaną. Wracał z jedzeniem, którym ratował współwięźniów w krytycznej sytuacji. Ze zdobytych części udało mu się złożyć radio, za którego pośrednictwem jeńcy na bieżąco poznawali wieści z frontu. Historia opowiedziana autorowi przez Horace’a Greasleya to zapis prawdziwych wydarzeń z jego życia. To burzliwy portret czasów, w których ujawnił się ogrom ludzkiej odwagi, wzbudzającej podziw kolejnych pokoleń.

**NIEZWYKŁA HISTORIA UCZUCIA, KTÓRE POKONAŁO TERROR,
GŁÓD I STRACH.**

Nr katalogowy: 17945



Księgarnia internetowa:
<http://editio.pl>



Zamówienia telefoniczne:
0 801 339900



0 601 339900

 **editio**

Helion SA
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice
tel.: 32 230 98 63
e-mail: editio@editio.pl
<http://editio.pl>

cena: 37,00 zł

ISBN 978-83-246-8307-9



9 788324 683079